

ANNA
KANTOCH

Wiara

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Kańtoch

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

sobota, 12 lipca

Pociąg z łoskotem przetoczył się przez most, a potem zaczął wspinać się pod górę. Kapitan Andrzej Witczak od czasu do czasu wyglądał na zewnątrz, chłodząc rozgrzaną twarz. Siedzenie ze sztucznej skóry było tak gorące, że nie dało się go dotknąć gołą ręką, a woda, którą zabrał na podróż, z zimnej zmieniła się już w obrzydliwie ciepłą. Mimo to Witczak cieszył się, że ma choć otwarte okno. Wcześniej musiał jechać przy zamkniętym, bo w jego przedziale – podobnie zresztą jak i we wszystkich sąsiednich – brakowało korbki do opuszczania szyby. Dopiero na maleńkiej leśnej stacyjce wsiadł z rodzicami mniej więcej dwunastoletni chłopiec, który z plecaka wyjął własną korbkę, niewątpliwie ukradzioną jakiś czas temu z innego piętrusa. Witczak jako przedstawiciel władzy powinien stanowczo potępić taką egoistyczną i antyobywatelską postawę, zamiast tego jednak pożyczył korbkę, założył ją na wystający ze ściany bolec i otworzył okno.

Pociąg szerokim łukiem minął zalew i usadowione nad nim kwadratowe budynki, po czym przyśpieszył. Witczak wiedział, że za chwilę przejadą dokładnie przez miejsce, w którym znalaziono zwłoki. Ta myśl nie wywołała w nim żadnych emocji, może

oprócz chwilowej refleksji nad niespodziankami, jakie niesło życie. Prawdopodobnie spora część jego towarzyszy podróży nie zdawała sobie sprawy z tego, co mijają. Jechali na wakacje cieszyć się słońcem i wodą, jak najdalsi od myśli o wykrwawiającej się na torach dziewczynie.

Wrócił do przerwanej lektury, ignorując kobietę, która rozsiadła się naprzeciwko. Współpasażerka była gruba, pot lepił jej do czoła krótko ścięte włosy, a pod pachami rozlewał się w ciemne plamy. Miała ze sobą cztery wypchane siatki, z których bezustannie coś wyjmowała: a to kanapkę, to znów brązową torebkę z landrynkami czy kawałek suszonej kiełbasy.

Stację Rokitnica rozpoznał od razu, bo – dokładnie tak, jak poinformowano go w Bielsku – była największa na tej trasie, z dwoma peronami i dużym, biało otynkowanym budynkiem dworca. Witczak zaczął zbierać się do wyjścia. Zdjął z półki walizkę, po czym schował do niej książkę. Tęga kobieta zerknęła na tytuł, ale nawet jeśli się zdziwiła, to nie dała po sobie tego poznać, kapitan pożegnał ją więc z odrobiną sympatii.

Pociąg odjechał. Witczak przystanął na peronie, paląc papierosa i odprowadzając wzrokiem parę z dwójką dzieci. Młodsza dziewczynka domagała się lodów, starsza pytała, czy w tym roku babcia też pozwoli jej pojeździć na koniku. Przez moment kapitan poczuł ukłucie w sercu – żalu? nostalgii za dzieciństwem? – a potem rzucił na ziemię niedopałek papierosa i przydepnął go. Skoro nikt nie zamierzał po niego wyjść, musiał radzić sobie sam.

W budynku stacji panował przyjemny chłód. Na środku poczekalni wznosił się olbrzymi kaflowy piec, teraz oczywiście zimny, a w okienku kasy tkwiła znudzona kobieta, która popijała kawę zalewajkę. Podszedł bliżej.

– Kapitan Witczak z komendy wojewódzkiej – przedstawił się. – Jak dojdę do posterunku?

Kobieta podskoczyła nerwowo i wytrzeszczyła oczy.

– Wyjdzie pan i od razu w prawo skręci, a potem ciągle wzdłuż drogi.

– Daleko to?

– No, ze dwadzieścia minut pan pójdzie.

Zaklął w myślach. Rokitnica była duża nie tylko pod względem liczby mieszkańców, lecz także terenu, jaki zajmowała. Spore centrum z kościołem, pocztą, szkołą i kilkanaście sklepami, a potem rząd domów ciągnących się w obie strony wzdłuż głównej drogi i jeszcze kilkadziesiąt gospodarstw oraz przysiółków rozrzuconych chaotycznie po okolicznych zboczach. Witczak wiedział o tym, podobnie jak zdawał sobie sprawę z tego, że stacja kolejowa położona jest na najdalszym skraju wsi, jednak nie był przygotowany na dwudziestominutowy marsz w takim skwarze.

– Autobus tu nie jeździ? – zapytał bez większych nadziei.

– Trzy razy dziennie tylko. – Kasjerka bardzo starała się być pomocna. – Z Żywca jedzie. Najbliższy będzie za dwie godziny.

– Taksówka?

Spojrzała na niego, jakby zapytał, gdzie może wynająć latający talerz z Marsa. Zniechęcony kapitan odwrócił się i już miał odejść, kiedy kobieta wychyliła się z okienka.

– Mamy powozy, jeśli pan chce.

– Powozy? – Witczak wyobraził sobie kapiącą od złota karetkę z filmu *Markiza Angelika*, który oglądał niedawno z żoną.

– No, takie dla turystów. Jak w Zakopanem. – W głosie kasjerki zabrzmiała wyraźna duma, że mają coś wspólnego z zimową stolicą Polski.

– Powozy, aha.

Podniósł walizkę i wyszedł na zewnątrz. Upał natychmiast uderzył go w twarz i na moment odebrał oddech. Chwilę trwało, zanim kapitan z powrotem przyzwyczaił oczy do jaskrawego światła. Po drugiej stronie drogi stała dwukółka zaprzężona w konia, który oganiał się niecierpliwie od much. Powozik nie wyglądał imponująco, ale Witczak nie miał wyboru. Podeszedł do niego, czując, jak gorący asfalt zapada się pod podszewami jego butów, i z sapnięciem ulgi wdrapał się na siedzisko. Grzało podobnie jak siedzenia w pociągu, a na domiar złego przez dziury w materiale wylażyły gdzieś kłęby końskiego włosa.

– Podrzuci mnie pan na posterunek?

Woźnicy zabłysły oczy.

– Pon w sprawie tej baby, co jom na torak zaciukali?

– W tej sprawie. Wie pan coś może o tym?

– Nye, jo nic nye wyem. To jakosik miastowo panicka była. Panie, łodpuść jij ta grzechy...

– Dużo tu macie takich przyjezdnych?

– No, walnie bydzie. Ze śwagrym ik na pociong wozymy, jo mom swój wóz, a łon swój. Nale byłoby wiencyj miastowyk, kieby tego diabelstwa stawiać nye zacynli.

– Ma pan na myśli elektrownię?

– Ano, elektrownie.

Witczak czekał cierpliwie: na wzmiankę o Czarnobylu, niebezpieczeństwach, które niesie ze sobą energetyka jądrowa – o ile chłop w ogóle takie słowa znał – a także o tuszującym katastrofę rządzie. Jednak woźnica najwyraźniej zrobił się nagle ostrożny, bo od tej pory na wszystkie pytania odpowiadał tylko półsłówkami. W narastającym skwarze mijali kolejne domy, murowane i drewniane, potem przejechali opodal niewielkiego sklepiku i poczty. Zatrzymali się obok kościoła. Wieś wydawa-

ła się opustoszała, mieszkańcy najpewniej siedzieli w domach, chroniąc się przed upałem, albo pracowali przy gospodarstwach, letnicy za to odpoczywali nad jeziorem. Witczak rozejrzał się. Na drzwiach kościoła zauważył wypisany kredą, na wpół zatarty napis: ...PRZYJDZIE ZE WSCHODU. ...MSZĘ. Kapitan przyglądał mu się przez chwilę, potem zeskoczył z wozu, zabierając walizkę, zapłacił i wszedł do wskazanego przez woźnicę niewielkiego budynku, przed którym stał zakurzony polonez.

– Myśleliśmy, że pan kapitan przyjedzie samochodem – usprawiedliwiał się niezbyt gorliwie starszy sierżant Stefan Waśkowiak. Był to wysoki, kościsty czterdziestokilkulatek o końskiej szczęce i flegmatycznych ruchach. Witczak nie potrafił powiedzieć, czy funkcjonariusz istotnie nie dostał jego telegramu, czy może kłamie, a nieodebranie go z dworca było drobną dywersją i wyrazem niechęci, jaką większość prowincjonalnych milicjantów żywiła do wtrącających się w ich sprawy „ludzi z miasta”. A może zwyczajnie ktoś tu uznał, że to będzie świetny dowcip.

– Nie prowadzę – odpowiedział Witczak, co zostało powitane jak zawsze: przemykającym przez twarz rozmówcy zdumieniem, które zaraz pokrywała mina nieszczerzego zrozumienia.

– Jasiek, skocz po piwo dla pana kapitana. Gorąc jest, trzeba się czegoś zimnego napić.

– Dziękuję, nie piję. Wystarczy mi woda albo oranżada.

Tym razem zdziwienie było wyraźniejsze, trwało też dłużej. Waśkowiak opanował się i skinął w stronę barczystego blondyna o dziecięcej twarzy, który wyszedł i wrócił po chwili z butelką oranżady.

– P...pan się napije – powiedział, jaskając się lekko. – D...dobra i zimna.

Waškowiak zachichotał.

– To jego pierwszy trup i chłopak strasznie się przejmuje – wyjaśnił, przedstawiając przy okazji blondyna jako kaprała Jana Synowca. – A tam – ruchem głowy wskazał dziewczynę siedzącą nieruchomo pod ścianą maleńkiego pokoiku – to starsza szeregowca Hanka Gierasówna. Ona nie od nas jest, tylko z Żywca. Jak chodziliśmy ludzi przepytować, przysłali ją i jeszcze jednego chłopaka, żeby szybciej poszło. On pojechał, a Hance widać się spodobało, bo została.

– Urlop wzięłam i teraz u ciotki tutaj mieszkam. Pomogę, jeśli pan kapitan nie ma nic przeciwko.

– Dziękuję. I możecie darować sobie tego „kapitana”.

Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia kilka lat i była wyjątkowo brzydka: chuda jak wykrzyknik, z wąską, podłużną twarzą i zębami dziwnie stłoczonymi w ustach. Wygląda, jakby ktoś położył ją na boku, a potem próbował sprasować, pomyślał Witczak. Ona również sprawiała wrażenie zdenerwowanej, ale w inny sposób – nie jękała się jak Jasiek, tylko siedziała napięta niczym struna, w gorliwym oczekiwaniu.

– Chcę przejrzeć wszystkie materiały, które do tej pory zebraliście – oznajmił Witczak Waškowiakowi. – I będę potrzebował samochodu, a do tego kogoś, kto umie go prowadzić.

– Jasne. – Starszy sierżant dla odmiany wyglądał na całkowicie wyluzowanego. – Teraz to pana śledztwo. Mamy poloneza, stary jest, ale ciągle na chodzie. No i na tutejszych wertepach całkiem nieźle się sprawdza. Jasiek może z panem jeździć...

– Wolałbym dziewczynę, o ile ma prawo jazdy.

Oczy Hanka rozbłysły, twarz lekko poróżowiła.

– Nie ma sprawy. – Usta Waškowiaka rozciągnęły się w porozumiewawczym uśmiechu. Mało brakowało, a starszy sierżant

by do Witczaka mrugnął. – Hanka, zawieź pana kapitana do Stokrotki. Zje pan dobry obiad i odpocznie po podróży.

Dom Wczasowy Stokrotka mieścił się w przedwojennym pałacyku otoczonym parkiem. Budynek był odrapany, a park wyraźnie zaniedbany, całość miała jednak dla Witczaka pewien dziki urok. Wrażenie psuła tylko grupa dziesięcio-, jedenastoletnich dzieciaków goniących się z wrzaskiem między drzewami.

– Kolonie pracownicze z katowickiej huty – wyjaśniła Hanka. – Ale niech się pan nie martwi, oni przez większość dnia i tak są albo w górach, albo nad rzeką.

Jakby na potwierdzenie jej słów z pałacyku wyszła młoda kobieta, która energicznie zaklaskała w dłonie, ustawiła dzieci w pary, a potem wymaszerowała z nimi przez bramę.

– Wiedzą o trupie? – zapytał kapitan.

– Dzieciaki mam nadzieję, że nie. Ale wychowawcy chyba tak.

I niewiele ich to obchodzi, odpowiedział w myślach milicjant. Kobieta była przyjezdna, wszyscy więc pewnie zakładali, że zabił ją też turysta, ktoś z zewnątrz, kto dawno już wyjechał z Rokitnicy. A co, jeśli nie? Jeśli morderca wciąż tu był?

Witczak rozlokował się w pokoju, skromnie umeblowanym, ale całkiem wygodnym, po czym zszedł do nijakiej stołówki na obiad, bo akurat była pora wydawania posiłków. Hanka wykręciła się, mówiąc, że już jadła, przyjęła jednak z wdzięcznością szklanekę kompotu truskawkowego. Kapitan dostał schabowego na pół talerza, górę polanych tłuszczem ziemniaków oraz małą miseczkę z mizerią, czyli kilkoma plasterkami ogórka pływającymi smętnie w nieprzyprawionej śmietanie. Jedzenie, z wyjątkiem mizerii, było smaczne. Jeśli chodzi o mięso, nie ma to jak wieś, pomyślał Witczak, nabijając na widelec kawałek kotleta.

– No dalej, zapytaj mnie – powiedział, kiedy już przełknął.

– O co mam zapytać?

– Dlaczego wybrałem ciebie zamiast kaprała Synowca. Nie masz nic przeciwko, żebym mówił ci po imieniu, prawda? – Nie czekając na pozwolenie, kontynuował: – Waškowiak myśli, że chcę cię zaciągnąć do łóżka, wiesz o tym?

Zaczerwieniła się – wiedziała, oczywiście, że tak.

– Dlaczego wybrał pan mnie? – zapytała posłusznie.

– Ponieważ zamordowana była kobietą, a ja chcę wysłuchać teorii innej kobiety na temat tego morderstwa.

– Problem w tym, że nic nie wiemy. – Dziewczyna dopiła kompot, po czym zaczęła bawić się szklanką. – Ofiara nie miała przy sobie dokumentów...

– Nie chodzi mi o jej nazwisko, ale o to, kim była. Jaka była.

– Widział pan zdjęcia – bąknęła Hanka.

– Widziałem, tak samo jak ty. Do kostnicy też cię zabrali? Niepewnie skinęła głową.

– To mów, czego się dowiedziałas na temat ofiary.

– Była młoda, między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Zdrowa, bez nałogów. – Starsza szeregową zawahała się i kiedy Witczak był już pewien, że nie powie mu nic poza tym, co można by wyczytać z raportu patologa, podjęła: – Jej bielizna i rajstopy były tanie, z gatunku takich, które można dostać w każdym domu towarowym. Podobnie bluzka. Spódnica poszerzana, widocznie dziewczyna jakiś czas temu utyla. Buty stare, z wymienionymi flekami.

– Co z tego wynika?

– Nie miała dużo pieniędzy, ale starała się dobrze wyglądać. Nosila kolczyki i pierścionek, niedawno była u fryzjera. Paznokcie opiłowane i pociągnięte bezbarwnym lakierem, wypastowane buty, lekki makijaż – wymieniała. – Robiła, co mogła.

– Chciała się podobać? Szła na randkę?

Hanka znowu się zawahała.

– Nie wydaje mi się. Nie była ubrana jak na spotkanie z chłopakiem. Za mało seksownie, rozumie pan. – Zaczzerwieniła się lekko. – Wyglądała, jakby wybierała się do cioci na imieniny.

– Pochodziła ze wsi czy z miasta?

– Moim zdaniem raczej z miasta. Nie dlatego, że dziewczyny ze wsi nie potrafią się ładnie ubrać – zastrzegła szybko. – Ale ona chyba nigdy nie pracowała fizycznie. Miała takie miękkie, białe dłonie... Może była urzędniczką albo kimś w tym rodzaju. Mogła nawet jeszcze studiować, jeśli bliżej było jej do tych dwudziestu pięciu lat.

– Co urzędniczka ubrana jak na imieniny cioci robiła na nasybie kolejowym?

– Tego właśnie nie rozumiem. Nie miała butów do chodzenia po wiejskich drogach. I te rajstopy...

– Co z nimi?

– Patolog twierdzi, że zginęła jakieś pół godziny przed tym, jak ksiądz ją znalazł, czyli koło ósmej trzydzieści. Wtedy było już ciepło, a miało być jeszcze cieplej. Jest lipiec, wakacje. Jaka kobieta wkłada rajstopy i pełne buty, żeby przedzierać się w upale przez jakieś wertepy? Czemu nie poszła w sandałach i krótkich spodenkach?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

Dziewczyna obracała w palcach szklankę po kompocie, jakby spodziewała się znaleźć odpowiedź wśród leżących na dnie sflaczałych truskawek. Wiczak wyjął paczkę klubowych i zapalił.

– Przychodzi mi do głowy tylko to, że chciała, żeby traktowano ją poważnie – odpowiedziała Hanka. – Jeśli rzeczywiście pracowała w urzędzie, mogła iść do któregoś z gospodarstw

w jakiejś oficjalnej sprawie i wtedy taki strój miałby sens. Ale co urzędniczka z miasta mogłaby chcieć od kogoś z tutejszych? Poza tym była niedziela, dzień wolny. No i nikt jej nie rozpoznał. Pokazywaliśmy zdjęcie we wszystkich okolicznych domach i nic.

– Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. – W głosie kapitana zabrzmiała lekka ironia. – Nie wydaje ci się to dziwne? Dziewczyna zginęła na trzymetrowym nasypie kolejowym, w miejscu, które jest doskonale widoczne z dużej odległości. A jednak nikt nie zauważył ani jej, ani napastnika.

– Było wcześniej, niedziela – bąknęła milicjantka. – Poza tym wystarczająco blisko jest tylko jedno gospodarstwo, Chojniaków. Z innych nie byłoby nic widać.

– Nie wciskaj mi kitu, o ósmej na wsi nikt już nie śpi, nawet w niedzielę. A tego Chojniaka nawet porządnie nie przycisnęliście.

Tym razem rumieniec był głębszy, a zaciśnięte na szklance chude palce zbieleły wyraźnie.

– Dobra, zostawmy to na razie – zlitował się Witczak. – Jedziemy dalej. Tak ubrana kobieta prawie na pewno miała przy sobie torebkę. Co się z nią stało? Zabrał ją morderca?

– Chyba tak.

– Mord rabunkowy?

– Nie, bo wtedy wzięłby też złote kolczyki i pierścionek. Pewnie chciał nam utrudnić identyfikację.

– A to znaczy?

– Morderca wiedział, że nikt tej dziewczyny tu nie zna, że jeśli zabierze dokumenty, będziemy mieć problem z ustaleniem jej tożsamości. Chciał zyskać na czasie.

Kapitan skinął głową. Starsza szeregowka była całkiem inteligentna.

– Zabił z premedytacją czy bez?

– Chyba bez. Nikt o zdrowych zmysłach nie planowałby zabójstwa w miejscu, które widać z takiej odległości.

– A więc jak to wszystko twoim zdaniem wyglądało? Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi.

– Może dziewczyna umówiła się z kimś? Niekoniecznie z miejscowym, to mógł być ktoś z letników. I nie na randkę, raczej na poważną rozmowę. Dlatego tak się ubrała: chciała wyglądać serio. Miała pusty żołądek, co może świadczyć o tym, że była zbyt zdenerwowana, żeby zjeść śniadanie. Może z jakiegoś powodu bała się tej rozmowy? I słusznie, bo w pewnym momencie coś poszło nie tak, facet się wkurzył i wyciągnął nóż.

– Nosił go przy sobie?

– Niektórzy mężczyźni chodzą z nożami, zwłaszcza na urlopach. Może to typ harcerza, wie pan, z tych, co lubią mieszkać w namiocie i dłubać w drewnie. Albo zabrał nóż na wszelki wypadek, nie planował zabić, tylko postraszyć. Ale to nadal nie ma sensu. Jeśli chcieli dyskretnie porozmawiać, czemu umówili się w miejscu, gdzie każdy mógł ich zobaczyć?

– A jeśli nie zależało im na dyskrecji, równie dobrze mogli umówić się w kawiarni albo na ławce przed kościołem – dokończył Witczak.

– Może ten nasyp to był kompromis? On chciał się spotkać w jakimś odludnym miejscu, ona się bała, więc na wszelki wypadek wybrała takie, gdzie byliby widoczni?

– Może. Albo po prostu nie mamy wystarczających danych. Zostawmy to na razie i zastanówmy się, czy ofiara знаła mordercę.

Tym razem Hanka myślała znacznie krócej.

– Chyba tak. Wie pan, ona nawet się nie broniła. Nie było śladów szarpaniny, pod paznokciami nie miała obcego naskórka. Pięć ciosów nożem w brzuch i klatkę piersiową, a dziewczyna nawet faceta nie zadrapała. Musiał ją kompletnie zaskoczyć.

– Kompletnie zaskoczenie trochę kłóci się z teorią, że bała się tej rozmowy.

Starsza szeregową z ociąganiem skinęła głową.

– Co jeszcze o niej wiemy?

Czekał na kolejny rumieniec i nie zawiódł się.

– Była dziewicą – wymruczała.

– W jej wieku to dość nietypowe, nie sądzisz?

– Może była religijna i nie chciała iść do łóżka przed ślubem.

– Czekala na tego jedyne go? A on okazał się mordercą?

– Czemu nie?

– Jasne, czemu nie. Takie historie się zdarzają. Mamy więc dziewicę, która jednocześnie boi się mordercy i pozwala mu się kompletnie zaskoczyć. Która umawia się w zupełnie idiotycznym miejscu i idzie na spotkanie odstawiona jak stróż w Boże Ciało, choć wie, że na wiejskich wertepach może połamać sobie obcasy, a przy trzydziestu stopniach w rajstopach będzie jej gorąco jak diabli. A facet co prawda zabójstwa nie planuje, ale przychodzi z nożem, a po wszystkim jest na tyle przytomny, żeby zabrać ofierze torebkę, bo wie, że to spowolni śledztwo.

Hanka poruszyła się niespokojnie.

– Chce pan powiedzieć, że wszystkie nasze teorie są bez sensu?

– Chcę powiedzieć, że na razie jesteśmy w sytuacji kogoś, kto próbuje ułożyć układankę z połowy klocków. Poza tym to nie nasze teorie, tylko twoje. Zaczekaj.

Wstał i ruszył w stronę baru, który od stołówki dzieliło prze-
wężenie sali. Część barowa miała już jakiś konkretniejszy wy-
strój, stoliki były tu zwyczajnie drewniane, bez przykrywającej
je kraciastej ceraty, góralskie ciupagi zdobiły ściany, a nad barem
wisiła spłowiata mapa górskich szlaków. Witczak miał okazję
przyjrzeć się jej, kiedy czekał w kolejce za długowłosym broda-
tym mężczyzną w dżinsach. Dwóch podobnie zarośniętych typów
siedziało przy jednym ze stolików. Na widok kapitana odruchowo
zniżyli głosy i konferowali teraz szeptem, rzucając od czasu do
czasu niespokojne spojrzenia w stronę funkcjonariusza.

Witczak kupił dwie cole i wrócił do stołówki.

– Ja stawiam – powiedział.

Dziewczyna wciąż wyglądała na urażoną, ale umiała się opa-
nować, co uznał za zaletę. Byłaby niezłym materiałem na śled-
czą, gdyby tylko przestała być tak upiornie sztywna i grzeczna.

– Kim są ci hippisi przy barze? – zapytał.

– Ruch Pokój i Wolność.

– Przyjechali z powodu elektrowni?

Skinęła głową. Na colę najwyraźniej nie miała ochoty, ale
zabrakło jej odwagi, żeby otwarcie odmówić, dlatego upiła łyk
i odsunęła butelkę.

– Wiosną, no wie pan, po Czarnobylu, wszystko stanęło i wy-
glądało na to, że jednak nie będą jej budować. A teraz znowu cho-
dzą plotki, że prace niedługo ruszą. Ludziom to się nie podoba.

– Miejscowi bardzo się buntują?

– Trochę – przyznała ostrożnie. – Ale nie robią nic nielegal-
nego, tylko piszą petycje.

Boją się, pomyślał Witczak. Milicja nie pieściła się z demon-
strantami i mało który chłop miał odwagę ryzykować otwarty
protest. Ale Pokój i Wolność to inna para kaloszy, oni niejedną

pałą już dostali i w niejednej celi siedzieli. Po nich można się było spodziewać wszystkiego.

Kapitan zapalił następnego papierosa.

– Dobra, wróćmy do naszej dziewczyny. Skąd się wzięła?

– Skąd się wzięła? – powtórzyła Hanka niepewnie.

– Przecież nie spadła z nieba. Musiała jakoś się dostać na ten nasyp. Przyjechała pociągiem, a może autobusem? Przyszła pieszo? Jeśli tak, to skąd?

Starsza szeregowka zastanowiła się.

– Mogła nocować gdzieś w okolicy, ale problem w tym, że nie wiemy gdzie. Na pewno nie tutaj ani nie w schronisku, bo wszędzie pytaliśmy. Ale...

– Ale? – ponaglił ją milicjant.

– Niektórzy chłopci wynajmują pokoje letnikom na lewo – powiedziała z lekkim ociąganiem. – Jeśli tak było, to teraz nikt się do tego nie przyzna. Poza tym mogła spać w namiocie...

– Taka elegancka kobitka?

– Może na co dzień chodziła zwyczajnie, w dżinsach, a eleganckie ciuchy miała gdzieś w osobnej torbie i przebrała się, kiedy szła na spotkanie z mordercą?

– Niech będzie – zgodził się Witczak. – A jeśli nie spała tutaj, to skąd się wzięła?

– Pierwszy poranny pociąg przyjeżdża o dziewiątej pięć...

– To ten, który omal nie rozjechał ciała?

– Ten sam. Autobus z Żywca za to jest w Rokitnicy już o ósmej. Czyli jeśli nie spędziła nocy u kogoś w domu albo siedząc w lesie, to przyjechała autobusem. Tyle że...

– Niech zgadnę: kierowca jej nie pamięta, nikt dziewczyny nie widział.

Skinęła głową, wyraźnie zakłopotana.

– Pytaliśmy też na dworcu, na wszelki wypadek, gdyby jednak przyjechała wcześniej. I nic.

– Zupełnie jakby jednak spadła z nieba, co?

Hanka milczała, wpatrując się w butelkę, z której upiła może trzy łyki. Kapitan swoją zdążył już opróżnić.

– Jest jeszcze jedna możliwość – odezwała się po chwili. – Mogła przyjechać z kimś samochodem, a potem szła przez las i łąkę obok domu Chojniaków aż do nasypu. Niedaleko by miała, jakieś półtora kilometra.

– Półtora kilometra to sporo dla kogoś, kto idzie na wysokich obcasach i martwi się, czy krzaczory nie porwą mu rajstop – zwrócił jej uwagę. – Mniejsza z tym. Chcę teraz zobaczyć miejsce zbrodni, potem porozmawiam z księdzem.

– Już go przesłuchiwaliśmy – zaprotestowała niepewnie.

– Nie chcę go przesłuchiwać, tylko poprosić, żeby nam pomógł.

Witczak wyjaśnił jej swój plan. Pomysłowość kapitana niewątpliwie zrobiła na Hance wrażenie, ale błysk w oczach dziewczyny szybko zgaś.

– Ksiądz się nie zgodzi – mruknęła zniechęcona.

– Bo milicja i Kościół się nie kochają? Ale przecież wielebnemu powinno zależeć na zidentyfikowaniu ofiary, choćby po to, żeby rodzina mogła ją po chrześcijańsku pochować.

Skinęła głową, nadal nie do końca przekonana. Witczak wstał.

– Zaraz wracam.

W pokoju zmienił koszulę na świeżą, wysikał się, a potem, stojąc przed lustrem, potarł szczecinę na policzkach. Powinien się ogolić, uznał jednak, że równie dobrze może zrobić to jutro. Wykrzywił się do własnego odbicia. Był bardzo przeciętnym męż-

czyzną, w średnim wieku, średniego wzrostu i średniej tuszy. Twarz też miał nijaką: może odrobinę zbyt okrągłą, z oczami nieokreślonego koloru i cienkimi blond włosami, które ostatnio niepokojąco często znajdował na poduszce. Czasem martwił go ten brak wyrazistości – gdyby mógł wybierać, chciałby wyglądać jak znani aktorzy z czasów jego młodości: Charlton Heston czy Rock Hudson. W gruncie rzeczy jednak przeciętna powierzchowność miała pewne zalety, ot, choćby takie, że dzięki niej łatwiej było wtopić się w tło. Poza tym nijakość kojarzyła się z dobroduszością i brakiem zagrożenia, a to również było przydatne w jego zawodzie.

Stanął na nasypie i rozejrzał się. Na podkładach kolejowych widniała wyblakła czerwona plama – krwi musiało być dużo, cała kałuża, a to oznaczało, że dziewczyna zginęła właśnie tutaj. Witczak wyjął z kieszeni chustkę i przetarł spocony kark. Po jednej stronie, prażąc się w słońcu, rosły rdestowce, pokrzywy i inne chwasty, podchodzące aż pod mury elektrowni. Dzięką, wybijałą zieleni przecinała wąska ścieżka – właśnie tędy nadjechał ksiądz. Po drugiej stronie nasypu rozciągał się las, a przed nim łąka, na której pasła się samotna krowa, dalej stał otoczony płotem murowany dom. Było to jedyne gospodarstwo w promieniu kilku kilometrów.

– Do kogo należy ta ziemia? – zapytał.

– To tutaj – Hanka machnęła w stronę zarośniętego pola – to własność elektrowni. A łąka jest Chojniaków.

– Ktoś tu jeszcze bywa?

– W jakim sensie? – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Jakimkolwiek – zirytował się. – Pary spotykające się w lesie na małe barabara, dzieci zbierające grzyby...

– Letnicy teraz niczego nie zbierają, wie pan, przez te wszystkie ostrzeżenia w radiu i telewizji...

Wiem, pomyślał Witczak. Znowu Czarnobyl.

– A miejscowi? – zapytał głośno.

– Miejscowych ciężko jest przekonać – przyznała Hanka. – Ale tak czy inaczej, ludzie raczej tu nie przychodzą. Za daleko i trudno dotrzeć.

Witczak skinął głową, myśląc o samochodzie zostawionym na żwirowej wiejskiej drodze i o marszu przez las, a potem przez podmokłą łąkę. Istotnie, trudno tu dotrzeć. Może więc wybór miejsca zbrodni nie był aż tak absurdalny?

Nie, jednak był, uznał kapitan. Bo nawet jeśli ludzie rzadko się tu zapuszczali, zabójca nie mógł mieć pewności, czy ktoś przypadkowy nie zjawi się akurat w chwili morderstwa. Wystarczyłoby przecież, żeby ksiądz jechał tą ścieżką pół godziny wcześniej. Dlaczego, u licha, facet nie schował się w lesie? Samo zejście trzy metry w dół nasypu zapewniłoby mu osłonę przynajmniej z jednej strony.

Kapitan przeszedł kawałek wzdłuż torów. Pomiedzy zaroślami po prawej błysnęło słońce odbite w kawałku metalu. Witczak osłonił oczy. Pod nasypem stał krzyż, ozdobiony wieńcem świeżych kwiatów. Klnąc na czym świat stoi, kapitan zsunął się po zboczu, naciągnął rękaw koszuli na dłoń i ostrożnie rozgarnął pokrzywy. Z początku myślał, że krzyż ustawiono tu po morderstwie, ale nie – pordzewiały metal zdecydowanie wyglądał na stary. A pod wieńcem świeżych kwiatów był drugi, uschnięty. Witczak zawołał Hankę.

– Co to za krzyż? – zapytał, kiedy dziewczyna przedarła się do niego przez zarośla.

– Nie wiem – odparła spłoszona. – Ja nie jestem stąd. Jako dzieciak spędzałam wakacje u cioci i znam sporo ludzi z Rokitnicy, ale o krzyżu nikt mi nic nie mówił. Pewnie jakiś wypadek na kolei albo coś w tym rodzaju.

– A te kwiaty?

– Może ktoś chciał upamiętnić tę dziewczynę?

– Ofiarę morderstwa? Świetnie. A te? – Uniósł świeże kwiaty i pokazał uschnięte, brązowe i tak skurczone, że nie dało się nawet rozpoznać gatunku. – Jak długo twoim zdaniem musiałyby tu wisieć, żeby tak wyglądać?

– Nie wiem... – Hanka odpowiadała coraz bardziej niepewnie.

– Kilka dni? Dłużej?

– Dłużej – uznała. – Może ze dwa tygodnie.

– Czyli ktoś powiesił na tym krzyżu kwiaty na tydzień przed morderstwem. Nie wydaje ci się to dziwne?

– Niespecjalnie – powiedziała, ale kapitan i tak jej nie słuchał.

Puścił wieniec i wdrapał się z powrotem na nasyp. Dziewczyna poszła w jego ślady. Znaleźli się na górze akurat w samą porę, żeby zobaczyć człowieka w gumiakach idącego przez łąkę. Witczak przyjrzał mu się uważnie, rejestrując ciemne włosy, blisko osadzone oczy i haczykowaty nos. Mimo gumiaków, upačkanych czymś workowatych spodni i brudnej koszuli mężczyzna był przystojny w jakiś niepokojący sposób, który musiał podobać się kobietom.

– Franciszek Chojniak? – kapitan zapytał swoją towarzyszkę.

– Tak.

– Mieszka tu z rodziną?

– Z żoną, dzieci nie mają. Ewa miała wypadek i teraz jest sparaliżowana.

Chojniak odwiązał krowę od kołka, poklepał ją po boku, a potem zaczął prowadzić w stronę domu. Na Hankę i Witczaka nawet nie spojrział.

– Chcę go widzieć jutro na komisariacie – powiedział kapitan. – Wyślijcie mu wezwanie.

– Jak wyślemy pocztą, to dojdzie za trzy dni.

– No to zawiadomcie go w inny sposób. – Witczak znowu zaczynał się irytować.

Dziewczyna wahała się może pół sekundy, a potem zbiegła w dół nasypu, krzycząc: „Franek, czekaj!”.

Kapitan zamknął z rozpaczą oczy.

Przed kościołem zatrzymali się pół godziny później. Upał już zelżał, w koronach drzew szeleścił lekki wiatr. Witczak wysiadł, Hanka chciała zrobić to samo, ale ją powstrzymał.

– Nie będę cię na razie potrzebował. Możesz jechać.

Dziewczyna ruszyła, rzucając mu pełne żalu spojrzenie, a kapitan skierował się w stronę plebanii. Chciał porozmawiać z księdzem sam na sam. Jak mężczyzna z mężczyzną, pomyślał nie bez ironii, bo nie był pewien, czy facet ubrany w kciekę zasługuje na to miano.

W dodatku tak wyglądający facet, dodał w myślach, kiedy dziesięć minut później, masując obolałą kostkę, siedział w fotelu naprzeciwko proboszcza. Kapitan miał dziś szczęście do spotykania przystojnych mężczyzn. Najpierw Chojniak, a teraz ksiądz Jerzy Marczewski, długorzęsy i niebieskooki, ładny jakas delikatną, prawie kobiecą urodą, która przywodziła na myśl młodego Alaina Delona. Pełnego pocucia winy Alaina Delona.

– Przepraszam, powinienem coś zrobić z tą gałęzią. – Ksiądz mówił ciepłym barytonem człowieka, który pracuje głosem i na-

uczył się odpowiednio go modulować. – Jakiś tydzień temu mieliśmy tu burzę, która oberwała z drzewa konar i teraz wszyscy się o niego potykają.

– Nieważne. – Witczak poruszył ostrożnie stopą. Wciąż bolała, ale chyba nic poważnego się nie stało. – Muszę z ojcem porozmawiać.

– Byłem już przesłuchiwany i obawiam się, że nie mam nic nowego do dodania. Znalazłem tę dziewczynę, kiedy już nie żyła, i zatrzymałem pociąg. Nie widziałem nikogo wcześniej.

– Wiem. Nie przyszedłem tu, żeby pytać, jak ojciec znalazł zwłoki. Mam inną prośbę. – Witczak pochylił się w fotelu i wyłuszczył ją spokojnie.

Ksiądz drgnął lekko, a mięśnie wokół jego ust napięły się, ale była to jedyna oznaka zdenerwowania.

– Nie jestem pewien, czy mogę się na to zgodzić. Zdjęcie martwej dziewczyny w kościele to nie jest coś, co ludzie mogliby łatwo zaakceptować.

Kapitan powstrzymał się od repliki, że zwłoki na krzyżu jakoś nikomu nie przeszkadzają, i zamiast tego oznajmił:

– Niech ojciec pomyśli o tej nieszczęsnej dziewczynie i o rodzinie, która gdzieś tam na nią czeka, z każdym dniem martwiąc się coraz bardziej. No i oczywiście na złapaniu mordercy też powinno ojcu zależeć. Zależy, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Świetnie, bo już się bałem, że trzeba będzie ojca uznać za podejrzanego. Zdarza się czasem, że morderca zgłasza się na milicję jako człowiek, który znalazł ciało. To całkiem sprytny ruch. Na przykład gdybyśmy odkryli na dziewczynie jakieś ślady księdza, łatwo byłoby wytłumaczyć je tym, że przecież pochyłał się ojciec nad zwłokami, może nawet ich dotykał.

– Nie zabiłem tej dziewczyny – odpowiedział wolno duchowny. Sprawiał wrażenie kogoś, kto aż do przesady panuje nad tonem głosu i stara się pilnować każdego gestu. – Kiedy przyjechałem, już nie żyła.

– Wierzę ojcu, ale mimo wszystko wolałbym, żeby ksiądz spełnił moją prośbę. Wtedy wierzyłbym bardziej.

Ksiądz Jerzy westchnął.

– Zastanowię się. Nie mogę obiecać niczego więcej.

– Doskonale. Mam nadzieję, że się dogadamy.

Duchowny chyba się spodziewał, że kapitan wstanie i wyjdzie, ten jednak rozparł się tylko wygodniej w fotelu.

– Teraz możemy porozmawiać bez stresu. Po pierwsze, widziałem na drzwiach kościoła napis o czymś, co ma nadejść ze wschodu, i o mszy. O co chodzi?

Proboszcz zakłopotał się.

– O elektrownię. Ludzie wierzą, że ściągnie na nas nieszczęście. Wie pan, Czarnobyl to był pierwszy znak, a teraz na nas ma przyjść zagłada. Chcieli, żebym odprawił mszę, ale to tylko zabobony, więc odmówiłem. Taki lokalny folklor. – Uśmiechnął się przepraszająco, jakby przyznawał, że jego parafianie wciąż wierzą w sikające do mleka krasnoludki.

– A ten krzyż przy miejscu, w którym doszło do morderstwa, to też lokalny folklor? Wie ojciec, kto go postawił?

Marczewski zmarszczył brwi.

– Krzyż? A tak, faktycznie. Latem, jak wszystko jest zarośnięte, ze ścieżki go nie widać. Nie mam pojęcia, kto mógłby go postawić. Był już tam, kiedy zostałem proboszczem.

– Czyli kiedy?

– Zaraz, niech policzę... Wiosną osiemdziesiątego drugiego.

Witczak wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nie zapalił, tylko zaczął się nią bawić, przekładając między palcami.

– Nie za wcześniej ojciec dostał własną parafię?

– Skończyłem trzydzieści pięć lat, nie byłem już taki młody.

A ta parafia miała opinię pechowej.

– Dlaczego?

Ksiądz zawahał się, w końcu jednak odpowiedział:

– Poprzedni proboszcz został odwołany w dość nietypowych okolicznościach. Ten przed nim powiesił się na plebanii, a jeszcze wcześniej utonął w jeziorze.

– Po pijaku?

Duchowny krótko skinął głową.

– Cztery lata to szmat czasu. – Kapitan wrócił do wcześniejszego tematu. – Wystarczająco dużo, żeby dobrze poznać swoich parafian. Pewnie wie ojciec o nich wszystko. Kto z kim sypia, kto przestawił płot pół metra na miedzę sąsiada i kto komu obił głębę na ostatnim weselu.

– Sugeruje pan, że ja wiem, kto zabił tę dziewczynę? – Głos księdza nawet nie drgnął, ale mimo to Witczakowi wydało się, że słyszy w nim napięcie.

– A wie ojciec?

– Nie mam pojęcia. Poza tym czemu zakłada pan, że to był ktoś stąd?

– Ja niczego nie zakładam, tylko pytam. – Wyjął wreszcie papierosa, rozejrzał się za popielniczką, a kiedy nie znalazł niczego, co by się nadało, schował go z powrotem. – Gdyby to był film, morderca przyszedłby się wypowiadać, a ojciec po krótkiej walce z sumieniem opowiedziałby mi wszystko. Wtedy sprawa byłaby prosta, co?

– To nie jest film.

– Niestety. – Witczak wstał. – Pewnie się jeszcze zobaczymy.
Z Bogiem.

– Z Bogiem – odparł kapłan, który tym razem nie zdołał się opanować i wyglądał na zdziwionego.

Ksiądz proboszcz odprowadził Witczaka wzrokiem, patrząc przez okno. Z Bogiem? Czy naprawdę milicjant pożegnał go słowami „z Bogiem?”. A wcześniej nazywał ojcem? Duchowny przypomniał sobie przesłuchanie na posterunku – starszy sierżant Waškowiak mówił do niego „obywatelu”, podkreślając to słowo aż do przesady, a ten młody, Jan Synowiec, niezręcznie i z wyraźnym poczuciem winy podlizywał się szefowi, żartując głupio z wkręcającej się w pedały roweru sukienki.

Ksiądz Jerzy nie miał pojęcia, co myśleć o kapitanie. Funkcjonariusz niewątpliwie próbował mu grozić, ale robił to bez większego przekonania, trochę jakby z przyzwyczajenia. Jakby wiedział, że i tak nie zdoła mu niczego udowodnić. A on miał czyste sumienie – nie znał tej dziewczyny i nawet nie dotknął zwłok. Zastanowił się, czy mimo to milicja mogłaby go zrobić w morderstwo. Uznał, że tak, ale w tym przypadku byłaby to chyba skórka niewarta wyprawki.

– Poszedł sobie? – Pawliczkowa wsunęła głowę do gabinetu proboszcza.

– Poszedł.

– Dobrze. – Gospodyni z satysfakcją skinęła głową. – To podam księdzu obiad.

Pawliczkowa miała czterdzieści parę lat, regularne rysy i całkiem zgrabną figurę, na co dzień jednak robiła wszystko, żeby wyglądać jak najgorzej: nosiła bezkształtne, workowate suknie, a włosy i czoło chowała pod wyjątkowo nietwarzową chustką, za-

wiązaną pod brodą jak u staruszki. Ksiądz Jerzy podejrzewał, że próbowała w ten sposób uniknąć plotek o urodziwym proboszczu i jego nie tak jeszcze starej gospodyni, która jakiś czas temu zostawiła w mieście bijącego ją męża. Nie mógł jej mieć za złe takiego zachowania, aczkolwiek czasem wolałby, żeby nie była aż tak oschła. Kilka razy próbował nawiązać z nią bliższy kontakt, na przykład zapraszając na partyjkę warcabów, ale Pawliczkowa zawsze wymawiała się jakimiś bliżej niesprecyzowanymi „obowiązkami domowymi”, choć wszyscy we wsi wiedzieli, że wieczory spędza sama przed telewizorem.

Teraz też zaproponował, bez większej nadziei na sukces, żeby gospodyni zjadła z nim obiad.

– Będzie mi bardzo miło – przekonywał. – Nie lubię sam przy stole siedzieć.

Zazwyczaj jadał z wikarym, ale Bartek rano zabrał suchy prowiant i wyszedł z grupą ministrantów na wycieczkę w góry.

Pawliczkowa energicznie potrząsnęła głową.

– Już jadłam – powiedziała, co prawdopodobnie oznaczało, że w czasie gotowania spróbowała zupy i skubnęła parę listków sałaty.

Proboszcz dał więc spokój i zabrał się do rosołu. Był idealny, nie za tłusty, z lanymi kluskami i pływającą na wierzchu posiekaną natką pietruszki. Pawliczkowa bardzo dobrze gotowała, świetnie sprzątała i nigdy nie mówiła niczego o sobie. Ksiądz Jerzy w gruncie rzeczy jej nie znał, tak samo jak nie znał swoich parafian.

„To szmat czasu”, powiedział kapitan.

Czy zdziwiłby się, gdyby Marczewski przyznał, że przez te wszystkie lata nie udało mu się zbliżyć do mieszkańców Rokitnicy? Nadal był kimś z zewnątrz, szanowanym, owszem, ale obcym. Nawet o młodym wikarym wiedział niewiele więcej ponad to, że chłopak wychował się w którejś z okolicznych wiosek, świetnie

grał na gitarze i od czasu do czasu lubił pokopać z ministrantami piłkę. Może proboszcz po prostu za mało się starał. Zawsze wolał trzymać się z boku, nie naciskać, nie włączyć z butami w cudze życie, jeśli ktoś sobie tego nie życzył. Jako spowiednik miał opinię bardzo łagodnego, bo nigdy nie wypytywał, nie drążył, co właściwie spowiadający się ma na myśli, kiedy mówi: „Robiłem to, no wie ksiądz co”. Czasem wydawało mu się to zaletą, a czasem wręcz przeciwnie, wadą, pewnego rodzaju tchórzostwem, ucieczką od problemu.

Zjadł ostatnią łyżkę rosółu. Pawliczkowa zabrała talerz i podsunęła drugi, z udkiem kurczaka pływającym w aromatycznym sosie i ziemniakami. Sobotnie obiady po postnych piątkowych zawsze były smaczne i obfite, prawie jak niedzielne.

Czy dlatego właśnie, z powodu tego tchórzostwa, dostał tak wcześniej swoją własną parafię? To pytanie dręczyło go od dawna i teraz, przypomniane przez Witczaka, zaatakowało z nową siłą. Owszem, Rokitnica miała opinię pechowej, ale mimo to była łakomym kąskiem: nie żadna dziura na końcu świata, gdzie jedyną rozrywką jest picie pędzonego nielegalnie bimbru, tylko duża letniskowa wieś. W lipcu i sierpniu na msze przychodziło tu tylu ludzi, że część musiała stać przed kościołem, a na tacy co niedziela lądowało ponad tysiąc złotych.

Dlaczego taka parafia dostała się właśnie jemu? Nie był przecież pierwszym wikarym w kolejce do probostwa. Ani nawet drugim czy trzecim.

Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, była jednocześnie odpowiedzią bardzo niepokojącą.

W seminarium należał do najbardziej chwalonych studentów: pilny, pogodny i spokojny. Może nawet odrobinę zbyt spokojny. Ksiądz powinien być towarzyski; mruków i introwertyków

szybko się pozbywano. Jerzy Marczewski od dzieciństwa miał zdolność wtapienia się w tło, był konformistą przybierającym ochronne barwy po to, by grupa nie wyczuła w nim obcego. A przełożeni obserwowali go uważnie. Na zajęciach, podczas posiłków i w kościele przyłapywał ich, jak na niego patrzą. Przez sześć lat spędzonych w seminarium nigdy nie czuł się pewnie, zawsze miał wrażenie, że niezależnie od dobrych wyników w nauce w każdej chwili może zostać wyrzucony. W gruncie rzeczy zdziwił się, gdy jednak udało mu się dotrzeć do święceń. A potem zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy jako jeden z młodszych księży otrzymał od biskupa własną parafię.

Bo być może to, co w normalnej sytuacji byłoby wadą, w Rokitnicy stawało się zaletą. Kościół nie potrzebował tu charyzmatycznego, dociekliwego księdza. Potrzebował kogoś, kto nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Proboszcz odsunął talerz. Nagle zupełnie stracił apetyt.